

## Agnieszka Graff

### Do szpiku

Zapewne znacie kilka takich małżeństw – *dobrych starych małżeństw*, które przy bliższym poznaniu okazują się stare i złe. Tak bardzo złe, że budzą niepokój, smutek, a nawet grozę. Dopiekają sobie wzajemnie, nie bacząc na zażenowanie świadków. Wylewają z siebie potoki wzajemnych pretensji i żalów, roztaczają ciężką aurę goryczy, gnuśności i beznadziei. Tak, z pewnością znacie takie pary. Może nawet żyjecie w jednej z nich? A może wasi rodzice tacy właśnie byli? Jeśli tak, to wolicie o tym nie pamiętać.

Ludzie, którzy tkwią w fatalnych związkach od dziesięcioleci, często nie pamiętają, jak to się stało, że czułość ustąpiła miejsca wzajemnej irytacji. Kiedy właściwie zaczęli się okłamywać, mijać w milczeniu, wzajemnie poniżać i ośmieszać? Nie potrafią też powiedzieć, dlaczego nadal są razem. Dla tych, którzy bywają ich gośćmi, świadkami ich słownych potyczek, jest jasne, że dawno powinni się rozstać. A jednak się nie rozstają. Dlaczego? Zmarnowali sobie nawzajem życie, ale to zmarnowane życie jest jedynym, jakie mają. Łączą ich wspólnie pogrzebane marzenia, razem tkwią w niemocy i wypaleniu. Nienawiść i pogarda to także formy bliskości, a bez bliskości człowiek żyć nie potrafi. Nikt tak celnie nie trafi w czuły punkt, jak współmałżonek. Nikt nie umie tak boleśnie nas dotknąć... a przecież potrzebujemy dotyku.

Sztuka Albeego to genialne studium małżeństwa w stanie takiej właśnie permanentnej agonii. Nieustanna agresja buduje tu emocjonalne i erotyczne napięcie, które obojgu każe tkwić w wypalonym związku. „My nic nie przeżywamy”, wyjaśnia George młodszemu o pokolenie Nickowi – „my uprawiamy taki...” Jeśli nienawiść istotnie stanowi *sport*, to bohaterowie zbierają medal za medalem. Wałą na odlew, bez cenzury, bez hamulców. Początkowo mamy wrażenie, że oglądamy dramat psychologiczny, sztuka szybko jednak osuwa się w okolice groteski i absurdu. Już jej dziwaczny tytuł to gra słów, przekształcenie dziecięcej piosenki „Kto się boi wilka złego” (*Who's Afraid of the Big Bad Wolf*) z animacji Disneya pt. „Trzy małe świnki” (1933).

Bohaterowie Albeego mówią głośno rzeczy, które w rzeczywistych relacjach (nawet najgorszych) zwykle pozostają niewypowiedziane.

Wszystko tu jest na wierzchu, wszystko się może wydarzyć: wymiana kunsztownych obelg i upokorzeń, ujawnianie obcym ludziom wstydliwych tajemnic współmałżonka, rzyganie i przemoc, wściekłość i wrzask. Najdziwniejsze jest połączenie szyderstwa z czułością – pieszczotliwe zdrobienia raz po raz okazują się nośnikiem zabójczej pogardy. Śledzimy

rozgrywki Marty i George'a w osłupieniu, początkowo świetnie się bawiąc. Podglądanie i podsłuchiwanie cudzych rodzinnych awantur jest wszak zakazaną przyjemnością, a tu możemy oddać się jej bezkarnie. Stopniowo jednak robi nam się nieswojo. Popadamy w rozdrażnienie podobne do tego, które napędza George'a i Martę, i którym zarazili swoich młodych gości. Irytacja o ustępuje miejsca obrzydzeniu i grozie, aż wreszcie docieramy do sedna, albo też – jak powiada w pod koniec sztuki George – *do szpiku*.

Sztuka Albeego, uważana dziś za arcydzieło, w 1963 roku wzbudziła konsternację. Została nominowana do Pulitzera, ale komitet doradczy jury odrzucił tę kandydaturę jako zbyt kontrowersyjną (nagrody za dramat nie przyznano za ten rok w ogóle, Albee dostał Pulitzera cztery lata później). Skandalem był nie tylko brutalny język, ale także polityczny wydźwięk dramatu. George i Marta to przecież imiona pierwszej pary prezydenckiej. Mamy zatem sztukę, w której państwo Waszyngton serdecznie się nienawidzą, zadręczają się nawzajem, a przy tym – co istotne – pozostają bezpłodni. Ich potomstwo – przyszłość Ameryki – okazuje się fantazją, snem, absurdalną fikcją. Bezdzietni są także Nick i Skarbie - młodzi, ale już wypaleni rodzice ciąży urojonej, która pojawiła się, by „skłęsnąć” po ślubie. Kpiąc z instytucji małżeństwa, Albee igrał z czymś, co funkcjonuje w amerykańskiej kulturze jako swoista świecka świętość – symbol państwa i obywatelstwa, źródło godności i praw. To dlatego w Stanach pary tej samej płci walczyły o dostęp do małżeństwa, a nie do ‘związków partnerskich’ – chodziło o godność, a nie o kwestie praktyczne.

*Kto się boi...* można zatem czytać jako bezlitosną diagnozę Ameryki epoki zimnej wojny, a końcówka drugiego aktu sugeruje, że może tu chodzić o coś więcej niż tylko Stany: „Tak więc Zachód - skrępowany fałszywymi sojuszami, obciążony przez moralność zbyt sztywną, by mógł dostosować się do tempa zmian, musi... ostatecznie... upaść.” George, wykładowca historii, cytuje tu *Zmierzch Zachodu*, monumentalne dzieło Oswalda Spenglera z 1918 r., traktat prorokujący koniec naszej cywilizacji, która pod wpływem spuścizny Oświecenia straciła rozmach i rozpęd, zaprzestając reprodukcji. Cytat można odczytać serio lub ironicznie – jak kto woli. Sztuka Albeego niewątpliwie jednak wieszczy schyłek, naigrywa się z amerykańskiego optymizmu i demokracji, mieszczańskiej hipokryzji i tradycyjnego podejścia do ról płci. To ono właśnie jest źródłem frustracji i wzajemnej pogardy bohaterów. Wielka brytyjska pisarka Virginia Woolf funkcjonuje w sztuce jako symbol kobiecej emancypacji – jedyny dostępny w na przełomie lat 50. i 60., zarazem obcy i straszny. Marta – niczym bohaterka słynnej *Mistyki kobiecości* Betty Friedan (1963 r.) – dusi się w roli tradycyjnej pani domu. Co prawda „studiowała jak wszyscy”, ale później nic oprócz ślubu się w jej życiu nie wydarzyło – to dlatego teraz odgrywa się na Georgu. Ten z kolei nijak nie potrafi

sprostać przypisanej mu roli władczego samca, chce czytać i pisać, a nie rządzić. W efekcie oboje są głęboko nieszczęśliwi. Tak odczytany, dramat Albeego okazuje się proroczy, ale nieco inaczej niż ultrakonserwatywny Spengler. Za kilka lat nadejdzie wszak nie tyle „zmierzch Zachodu”, co epoka kontrkultury – rewolucja seksualna, ruch feministyczny i gejowsko-lesbijski. Cóż, dla Marty i George’a, już teraz mocno podstarzałych, będzie o dwie dekady za późno.

Po tej wycieczce w sens metaforyczny i polityczny – upadek Ameryki, upadek Zachodu, schyłek patriarchy – warto wrócić do warstwy psychologicznej. To ona, paradoksalnie, czyni tę sztukę wciąż aktualną. Dlaczego? Bo każdy z nas zna takie małżeństwa, bo wielu spędziło w nich dzieciństwo, bo niektórzy nadal w nich żyją. Dlatego właśnie ten tekst – jeśli jest dobrze zagrany – budzi w widzach gwałtowne emocje i na długo zapada w pamięć. Dotyka w nas czegoś, co intymne, bolesne i dotąd nienazwane. Jakiegoś smutku, lęku, tęsknoty, wstydu. Wychodząc z teatru nie do końca wiemy, co się wydarzyło, ale potem jest jakoś inaczej.